

*Die 30 julii, wieczór
Obozowisko pod zamkiem w Samborze*

Nietrudno się domyślić, że mina pana stolnikowica była nietęga, kiedy rozkładał się na noc pod zamkiem. Co gorsza, z siedziby wojewody co chwila dochodziły wiwaty i armatnie wystrzały świadczące o tym, że Dymitr wcale nie spędzał nocy na bogobojnych rozważaniach. Carewicz cieszył się życiem i ucztował, podczas gdy jego wybawiciel musiał nocować w polu jak zбитy pies.

Nieborski i Świrski z trudem znaleźli miejsce na stację, stłoczyli wozy obok siebie, a potem poczeli rozbijać okrągły namiot i kotarę dla pana. Gdy wkopywali w ziemię główny drąg i montowali poprzeczne żerdzie, wtykając je w drewniane koło na maszcie, a potem napinali odciąg, Dydyński popijał wino z bukłaka i rozmyślał.

To było pewne jak śmierć, że jeśli posłuchanie u carzyka zależeć będzie tylko i wyłącznie od humorów Dworyckiego, to Dydyński będzie czekał pod murami zamku ad mortuum de-

fecatum<38>. Stolnikowic nie robił sobie nadziei, że jego wróg kiedykolwiek zezwoli mu na spotkanie z Dymitrem. Raczej będzie piętŗzył trudnoŃci jak góry, zza których nigdy nie wyjrzy letnie sŃlŃce.

Co czyniŃ, na Boga? Jak dostaŃ siŃ do Dymitra?

Pytanie byŃo rŃwnie dobre jak to, kiedy nastŃpi koniec Ńwiata. I rŃwnie prosta wydawaŃa siŃ odpowiedź: byŃ moŗe jutro, skoro nie nastŃpił w roku 1600, jak przepowiadali alchemiŃci i planetnicy – albo wcale.

Ponury nastrŃj Jacka nie udzielił siŃ czeladzi. Nieborski i Ńwirski prosili o dyspensŃ na resztŃ nocy, na co DydyŃski niechŃtnie zezwolił. Reszta poukŃadaŃa siŃ do snu na wozach i w namiotach. Jacek został sam pod rozgwieŗdzonym niebem.

Lecz nawet tam, w niebiosach, nie znajdował rady i pomocy. SpoglŃdał zatem na spadajŃce gwiazdy, jakby spodziewajŃc siŃ, Ńe wybawienie zleci wraz z nimi z nieba. DokoŃa obŃwzrał i huczał Ńmiechami, Ńpiewem, pijackim krzykiem, rŃzeniem koni i ryczeniem woŃwŃ.

Jak zdobyŃ posłuchanie u Dymitra? Nie znał wojewody Mniszcha, nie spotkał go podczas bytnoŃci w Samborze. Raz czy dwa na dworskim balu zetknał siŃ z MarynŃ, pamiŃtał jŃ jako jeszcze niedorosŃa, ale juŗ wodzŃcŃ maŃlanymi oczyma za mŃlodymi szlachcicami pannŃ. Chyba nawet doszŃo miŃdzy nimi do kilku pocaŃunkŃw, ale to byŃy dawne sprawy, o ktŃrych zapomniał. ZwŃszcza zwaŗywŃszy na miŃosne kŃopoty, jakie miał pŃwniej z okazji panny Zawiszanki. PokŃoniŃ siŃ wojewodzie? Marynie? Kto poza Dworyckim mŃgŃlby pomóc mu dostaŃ siŃ do cara?

Najgorsze z tego wszystkiego byŃo zaŃ to, Ńe pan Jacek byŃ po prostu i zwyczajnie w gorŃcej wodzie kaŗany. MajŃc przed sobŃ drogŃ do Moskwy i wyznaczony cel – chciał dziaŃaŃ. Oddany najpierw do ariaŃskiej akademii w Rakowie, a potem do wojska, przyzwyczajony byŃ do kŃŃ chorŃgiewnych, bankietŃw

i generalnie – obyczajów, w których pułkownik, czy nawet hetman, nie unikał podania ręki prostemu towarzyszowi. Tymczasem na dworach karmazynów i książąt rzecz się miała inaczej. Jacek tyle wiedział o dworskiej hierarchii, co pospolita krowa o konstytucjach sejmowych. Nie wiedział, gdzie iść, do kogo się udać i w ogóle jak rozegrać tę partię szachów, w której konik Dworycki zagradzał mu dostęp do króla.

Los jednak w postaci Herakliusza Świrskiego czuwał nad nim. Pocztowy zbliżył się bowiem nagle, pokłonił i rzekł:

- Wasza miłość, znalazłem człowieka, który może nam pomóc.
- Kto to?
- Chodź ze mną.

Jacek poderwał się z ziemi i ruszył za Jędrzejem. Doprawdy poza pijaństwem, co wszelako w owych czasach i w tych stronach nie bywało żadną wadą, Świrski miał niezwyklego nosa do podchwytywania wieści i plotek, a także napotykania ludzi, którzy okazywali się przydatni lub sprawowali władzę. Fakt, iż sam zwykle nie potrafił tego wykorzystać, nie znaczył, że nie umiał tego Dydyński. I dlatego mimo iż jego pocztowy i kompan siał plotki jak zboże z dziurawego worka, pomimo awantur i zatargów trzymał sługę przy sobie przez całą inflancką wojnę.

Świrski poprowadził Jacka do obozowiska, przy którym płonęło wielkie ognisko. Zgromadzili się przy nim przyszli statyści, wojownicy i jeźdźcy Fortuny, którzy czekali tylko sposobności, aby ucapić się z całych sił szuby Dymitra, a jeśli nawet odpaść, to przynajmniej z kawałkiem futra w garści. Nie było to towarzystwo, którego Jacek szukałby zwykłym trybem w karczmie: stary Kozak, para Żydów zachwalających kocie skórki jako najprzedniejsze sobole i pospolity szlachetka, o którym rzecz można było tyle: pan Wiehckiński, syn Wiehcia. Był też jakiś kleryk, paru mieszczanków w kabatach, wędrowny szot i grupa oberwańców trzymających się na uboczu.

– Ten człek – rzucił półgłosem Świrski – to czerniec Waarłam Jaickij, zaufany człowiek cara i jego prawa ręka. Przynajmniej takim się parszywiec oznajmuje.

– Zaraz z nim zagadam.

– A po co gadać z parszywcem? To Moskał czystej krwi, siła dla niego boskim i jedynym prawem. Za łeb go radzę, na koń i do lasu. Pięty mu przypiec, a zaraz powie, jak dostać się do Dymitra.

– Poczekamy, zobaczymy. Dzięki, że miałeś czujne oko. Naści talara na przepicie.

Przy ogniu na dębowym pniaku siedział gruby mnich w czarnej mantii, podobny z wyglądu do oklapłego bobra. Pałaszował z zapalem świńską nogę, nie bacząc na tłuszcz spływający w gęste siwe właki długiej po pas brody. A w przerwach między jedzeniem opowiadał coś z zajęciem, mamląc pełną gębą i mając za nic obyczaje nakazujące, by najpierw przełknąć, a gadać dopiero potem. Jego małe, głęboko osadzone oczy wędrowały od jednego oblicza do drugiego, jak gdyby sprawdzając, czy któryś ze słuchających nie myśli czasem o niebieskich migdałach, względnie złotych kopułach Moskwy.

Mnich był bez wątpienia Moskalem i prawosławnym, bo gadał po polsku, ale z zaśpiewem, jaki spotykało się wśród ukraińskiej szlachty, czasami wtrącając całe zdania po rusku. Dydyński poznał w nim przybysza, ale bynajmniej nie po mowie i stroju; wszak w Sanockiem i Przemyskiem było tyle samo unickich cerkwi, co kościołów, a czerńców spotykało się w święta i na traktach; był to równie powszedni widok, co bociany brodzące po łąkach. Ten mnich jednak wywodził się bez wątpienia z prawosławnej Cerkwi, bowiem pierwszym, co poczuł Jacek na jego widok, był niepokój. Stolnikowic jako katolik nie bardzo wiedziałby w pierwszej chwili, czego ma oczekiwać od takiej osoby: pociechy duchowej, czy raczej wzgardy, którą Cerkiew moskiewska darzyła wszystkie inne konfesje, uważając, iż tylko ona wielbi prawdziwego Jezusa Chrystusa. Tak, miły Czytelniku... To czuło się już na pierwszy rzut oka, że przy ogniu nie zasiadał zacny i łagodny franciszkanin z Sanoka, poczciwy pop z Jawornika czy Hulucza ani jowialny bazylianin z Pocijo-wa, tylko mnich moskiewski, przebiegły, inny. Obcy. Przez cały

czas gadał, a obecni słuchali go niczym pohańcy nawoływania sprośnego muezzina.

– Wyszliśmy z Moskwy, kiedy srożył się hołomor, roku sto dziewiątego, we czterech: Dymitr Iwanowicz, ja, Misaił Powadin i jeszcze jeden mnich z Czudowskiego monasteru. Ale nie głód wypędził nas na Litwę. Uchodziliśmy przed gniewem nieprawego cara Borysa, diabelskiego odszczepieńca, który polował na carewicza jak Herod na niewinne dzieci. Doszliśmy do Bolchowa i Karaczewa w strojach pątników...

Urwał na chwilę, otarł zatłuszczoną brodę rękawem mantii i z uszanowaniem przyjął drewniany kubek z winem od grubej żony koszykarza. Osuszył go jednym haustem i nabrał powietrza.

– Głód był na świętej Rusi, jakiego najstarsi chrześcijanie nie pamiętali. Już nie Samojedzi, Ostiacy i Permiaki, ale chrześcijanie dzieci swoje jedli i trupy z grobów dobywali. Ciała ich puchły, umierali wśród najsroźszych męczarni. Po drogach leżały trupy, które pożerały wilki, lisy, psy i dzikie zwierzęta. Strach było podróżować, bo zdziczali chłopci grasowali w lasach. Szczęściem sam Bóg natchnął nas nadzieją i pokazał drogę.

– Nie może być – mruknął chudy szlachetka. – Toż pamiętam dobrze, jak dziś, trzy lata temu deszcze u nas padały, plony zmarniały na polach. Ale żeby się ludzie zabijali i jedli? Musi głód normalna rzecz w moskiewskiej ziemi.

– Dzierżawcy kabaków zabijali podróżnych. Mięso ludzkie, drobno posiekane i ugotowane w pierogach, sprzedawano na targach, bo w wielu siołach i miastach nie ostało się ni bydlę, ni świnia, ni kot i pies nawet. Słusznie powiadali starcy, że nadszedł dzień, kiedy będzie wielu zabitych przez Pana, od krańca do krańca świata. Nikt nie będzie ich opłakiwał ani zbierał, ani grzebał; pozostaną jako nawóz na powierzchni ziemi. Podnieście lament, pasterze, i krzyczcie! Tak dotarliśmy aż do Brińska, gdzie odpoczywaliśmy siedem dni w klasztorze Troickim, zbierając siły na dalszą wędrówkę. Poszliśmy potem w dół Desny, do Nowogrodu, gdzie siedzieliśmy aż do Wielkiejnocy. Ojciec archimandryta dał

nam konie do Putywła, skąd w Wielki Poniedziałek ruszyliśmy – odesławszy przewodnika – do Staroduba i Lubezca.

Zamilkł i z błogosławieństwem przyjął kolejną czarę wina.

– Tak doprowadziłem carewicza do Kijowa, gdzie znaleźliśmy się w klasztorze Przczystej Bogurodzicy w Ławrze Pieczerskiej. Dymitra, który używał imienia zakonnego Grigorij, przyjął archimandryta Jelisej Pletniecki. Tam też carewicz uleczony został z choroby, a kiedy wyznał przeorowi Leonidowi, kim jest, przyjęto nas z honorami...

– A jam słyszał – wykrzyknął chudy szlachcic gołota, przerywając Waarłamowi z brakiem szacunku typowym dla polskiej nacji – że gdy Pletniecki usłyszał, że ma w celi rzekomego carzyka moskiewskiego, to was kijami wygnał poza bramę, mówiąc: *Czterech was przyszło, we czterech pójdziecie sobie. Oby jak najdalej!*

– Łeż to zwyczajna! Wrogów carewicza potwarz i obmowa! Potwarców Borysa Godunowa szczekanie! Sam byłem i pamiętam, jak archimandryta błogosławił Dymitra w dalszą drogę, modląc się, by odzyskał carski presteł³⁹ z pomocą Zbawiciela.

– Ja łże?! – zaperzył się chudy. – Cóż to, popie, mnie, szlachcicowi, kłamstwo zadajesz?

Nie trzeba chyba dodawać, że słowo *szlachcicowi* wymówił jakoby złotymi zgłoskami i podkreślił podkręceniem wąsa tudzież położeniem dłoni na starej szabli, tak zardzewiałej, jak gdyby wyciągnięto ją z trumny pradziada.

– Nie przerywaj opowieści przed końcem... panie bracie – wtrącił się Dydyński, domawiając ostatnie słowo z takim przekąsem, aby nikt z obecnych nie pomyślał czasem, że są nie tylko rodzonymi, ale nawet stryjecznymi braćmi. – A wy, ojcie Waarłamie, opowiadajcie dalej!

– Poszliśmy tedy gościńcami do kniazia Konstantego Ostrogskiego, naszej wiary dobroczyńcy i Cerkwi świętej przyjaciela. Ten łaskami Dymitra obsypał.

– Z początku tak – wtrącił cicho i spokojnie drugi szlachetka, stary, łysy i z przeogromnym kałdunem; bowiem tak już bywało w Rzeczypospolitej, że wraz z wiekiem mądrość i fantazja szlachecka, która nie mieściła się we łbie, osadzać się musiała w żywocie. – Ale potem tak samo postąpił jak Pletniecki. Zamiast łaski figę pokazał. I drzwi przed nosem Griszce zatrzasnął.

– Może tak było, może i nie. Pan nie oświecił wielikowo kniazia do sprawy Dymitra, ale przecie to wszystko może się odmienić.

– Pewnie, że może – tokował gruby. – Na gorsze. Słyszeliśmy już nieraz, jak kniaź obwieszczał, że Dymitriaszkową hałstrę rozpirzy w drobny mak na Ukrainie, aby z niej nie wynikała pograniczna awantura, wojna i zwada!

– Bóg poprowadzi prawowitego następnika szlakami wolnymi od niewiernych – zamruczał z pełną gębą Waarłam. – Ale może zadacie kłam moim następnym słowom: że Dymitr Iwanowicz udał się najprzód do pana Gabriela Chojskiego, gdzie w szkole w Huszczy pobierał nauki? A może i to nieprawda, że wkrótce Kozacy zaporoscy rozpoznali go jako prawego Rurykowicza, dziedzica tronu, i przyobiecali pomoc? Na Siczy przyjmował Dymitra ataman Gierasim Ewangelik, przybyli tam też posłowie od dońskich mołojców, donosząc, że wszyscy gotowi są, by ruszać z nim na Moskwę! A carewicz posłał im w zamian własną chorągiew – czerwoną z czarnym orłem. Co, może to też nieprawda?

– Prawda, prawda – przytaknął chudzielec. – Niechaj i cała Sicz się ruszy na cara Borysa. Bodaj tam carscy wojewodowie podgolili hultajstwo jak czuprynę, to Kijowszczyzna odetchnie, nie będą szynki pękać w szwach od Niżowców. I spokój zapamiętuje na parę lat na Ukrainie, niczym po niesławnym buncie Nalewajki. A niechaj ich wszystkich carewicz ze sobą zabierze, bodajby i jednego Kozaka nie zostało – tak na włości, jak i na Dzikich Polach!

– Ale carewicz nie ufał w siłę Kozaków – zagrzemiał Waarłam. – Dlatego poprosił o pomoc książąt Wiśniowieckich. A ci

przyjęli go z otwartymi ramionami i dzięki ich staraniom wielu panów popiera dziś w Koronie i na Litwie sprawę Dymitra.

– Na przykład kto? – nie wytrzymał Dydyński.

– Na przykład pan wojewoda sandomierski z rodziną. – Waarłam cisnął ogryzioną kość do ognia, wytarł ręce o oponczę i chwycił czarę, do której usłużny koszykarz dołał nową porcję wina. – Książęta Wiśniowieccy. Jan Fredro. Tarłowie, Ustrzyccy i Balowie z ziemi sanockiej, Stanisław Borsza, starosta radomski, i Jakub Struś, starosta braclawski i winnicki, Stanisław Stadnicki z Leska, kasztelan przemyski, Jan i Stanisław Buczyńscy. Mało wam jeszcze, jaśni panowie?

– Już wystarczy – mruknął spokojnie opasły szlachcic. – Poczec liczny jak pchły na grzebieniu. Ale czy dużo tam bród senatorskich, czy raczej więcej gołowásów i dziurawych pluder? Kto jeszcze stoi za Dymitrem? Słomiani kasztelanowie i starostowie bez jurydyk. Poza Wiśniowieckimi panowie koronni jak jeden mąż odkazywajutsa⁴⁰ od tej awantury.

– Kto nie chce popierać Dymitra? – beknął Waarłam. – Teraz ja słucham!

– Na przykład Jan Zamoyski i senatorowie rusczy. Tak samo pan hetman polny Stanisław Żółkiewski i hetman litewski Chodkiewicz, który boi się złamania paktów z Moskwą.

– Że Żółkiewski stoi przeciwko carowi, to rzecz mało dziwna – wtrącił Dydyński – bo przecież to wierny klient pana kanclerza i prędzej morze z brzegów wystąpi, niż będzie miał inne zdanie!

– Ale są jeszcze inni panowie – zaproponował opasły szlachetka. – Jak choćby kasztelan poznański Jan Ostroróg, który kazał Dymitriaszkę odesłać do domu. Jak biskup poznański Wawrzyniec Goślicki, co wszem wobec głosi, że carskie pochodzenie Dymitra niepewne i raczej zmyślane od osób creditu⁴¹ równie niewielkiego co kuśka świętego Stanisława ze Skalki

40 rus. – odcinają się

41 łac. – zaufania

w Krakowie. A nie muszę przypominać, co gada w tej sprawie jegomość pan wojewoda sieradzki.

– Ichmość pan wojewoda płocki Stanisław Krasiński radzi Dymitra ukryć i poczekać do sejmu.

– Ukryć, znaczy w wieży przytrzymać, aby nie rozhulał się Dymitriaszka na Dzikich Polach. Żelazny munsztuk w gębę włożyć.

– Wszelako pan wojewoda krakowski jest jego zwolennikiem.

– Pan wojewoda Zebrzydowski pod królem doły wilcze kopie, dla niego każdy powód dobry, by w Rzeczypospolitej burzę rozniecić. I lepiej by uważał, aby sam od pioruna nie zginął!

– Lew Sapieha Dymitrowi sprzyja.

– Bo chce odzyskać wioski: Opaków i Jelną! Którą jego ojcom i dziadom zabrali Moskale po szturmie Smoleńska Anno 1514! Z tego to względu unię z Moskwą szykował, ale spraktykował na swoim poselstwie hetkę z pętelką, jak to mówią na Litwie, czyli tyle co nic.

– A ja sam słyszałem, dobrzy ludzie, jak gadał: *Powadzi nas pan wojewoda sandomierski przed czasem z moskiewskim, lub mu się poszczęści, lub nie, jednak źle ojczyźnie i nam uczyni.*

– Gdzie żeś to słyszał?

– Na sejmiku!

– Alboś ty szlachcic, że na sejmiki jeździsz? Bodaj cię zabito!

– Ty złyj matki synu!

– Uciszcie się! Cisza, spokój!

– Sejmiki wszystkie jak jeden mąż contra⁴² Dymitriaszkiowi! Piszą: *Ze strony Dymitra Moskwicina postrzegać mają tego panowie posłowie, aby pacta⁴³ z Moskwą inviolabiter⁴⁴ były zachowane.* Sam w kancelarii grodzkiej czytałem!

– Wszystko to jezuicka intryga. W stolicy krzyczą, że wojnę tę pierwej w Rzymie niż w Warszawie uchwalono!

42 łac. – przeciwko

43 łac. – układy

44 łac. – niepogwałcone

Waarłam nie czekał na rozstrzygnięcie sporów polsko-polskich. Zwłaszcza że zakończenie takich dyskursów bywało czasami dość nieoczekiwane, gordyjskie węzły argumentów nie do odparcia szlachcice przecinali ostrzami szabel, nie troszcząc się zbyt, że pod ich ostrza może nawinąć się nieszczęsny czerwiec, chłop albo sługa.

Dlatego mnich wymknął się po cichu, potoczył tam, gdzie poza głównym obozowiskiem stały kolasy i bryki, a także namioty rozstawione przez Majchra z Przemyśla, który nie opuścił nigdy okazji, aby rozpuścić wśród okolicznej szlachty i mieszczan swoje swawolne klaczki i kobyłki. Był to zamtuz na kołach; gdzie tylko zeszło się kilku panów braci, a to na sejmiku, zjeździe, okazywaniu szlacheckim, roczkach ziemskich sądowych, tam zaraz wyrastały jak grzyby po deszczu malinowe namioty, spod których podmalowane barwiczkami inamoraty zapraszały panów braci na krótką przejażdżkę.

Dziś w nocy jednak Majcher przygotował dla Waarłama specjalną niespodziankę. Jaickij bowiem razem z wiekiem zmieniał swoje upodobania i podobnie jak biblijny król Salomon spragniony był, aby coraz młodsze ciała ogrzewały jego sterane kości.

Rajfur czekał w obozie cichy, skryty, uniżony. Bez żadnych wstępów, bez tracenia czasu ojczulek wcisnął mu w dłoń chudy mieszek.

– Ona już czeka!

– Boże wam pobłogosław, Stanisławie Iwanowiczu!

Posapujący, ale szczęśliwy Waarłam ruszył do namiotu. Wejście było od strony zamku, więc musiał obejść go z boku, uważając na zdradliwe linki odciągów. Pochylił łeb, gdy zobaczył podwiniętą kotarę i...

Prawie zderzył się ze szlachcicem polskim, który czekał w przejściu.

Waarłam zamarł, a jego ręka szybko wniknęła w zanadrze mantii. Ale nieznamy nie zdradzał złych zamiarów, więc przez głowę Jaickiego przemknęła myśl, iż może Majcher pomylił się. I, do rogatego czorta, wziął Waarłama za partyzanta tureckiej

miłości, która kwitła jak rozmaryn na drzewie dobrego i złego po niektórych polskich dworach i zagrodach. Osobliwie folgowali jej książęta Zbarascy. Jednak fakt, że podobnie jak Turcy przedkładali chłopięce wdzięki nad piękne łączki i wyniosłe wzgórki niewieściego ciała, większość szlachty uważała za jeszcze jedną pańską fanaberię, nie czyniąc wokół tego zbyt wielkiego rozgłosu.

Waarłam odetchnął z ulgą, kiedy dojrzał, że człowiek, który czekał na niego, był przyodziany w karmazynowy żupan i ferezję tudzież w kołpak z czaplimi piórami. Nie wyglądał zatem na sługę czy chudopachołka przysłanego przez Majchra dla uciechy Waarłama, bo kilka nędznych, oberżniętych ortów, które wcisnął rajfurowi w sparciałej sakiewce, z pewnością nie wystarczyłyby, aby opłacić noc w towarzystwie takiego junaka.

– Jesteście Waarłam Jaickij? – to było raczej stwierdzenie niż zapytanie. – Chcę z wami pomówić.

– Pomówicie, jak skończę. – Waarłam chciał przedrzeć się do namiotu, ale nieznamy szlachcic, choć wcale nie wielki, stał na jego drodze niewzruszony jak głaz.

– Pogawędzimy, zanim zaczniesz. Nie będę tu sterczał do rana!

– Czego chcecie, panie szlachcic? – wysyczał Waarłam tak wściekły, jakby w namiocie czekała nań gorąca i spragniona namiętności perska księżniczka.

– Abyście załatwili mi posłuchanie u Dymitra.

– Jeszcze jeden – warknął Waarłam. – Kołatajcie do zamkowej furty. Jeśliście szlachetnie urodzony, nie powinno być z tym kłopotu, bo nasz pan potrzebuje odważnych ludzi.

– Rzecz w tym, że furta jest dla mnie za wąska i zastawiona przez Dworyckiego, który żywi rankor do mej osoby. Moje nazwisko może okazać się równie nieprzyjemne dla carewicza, co imię Lucyfera. Szukam więc kogoś, kto szepnie o mnie dobrą radę Dymitrowi. Zapłacę!

Waarłam przestał się przepychać. To jedno jedyne ostatnie słowo wstrzymało go równie sprawnie co mocne wędzidło rozpędzonego ogiera.

– Rozmawiacie z odpowiednią osobą. Dwadzieścia dukatów pruskich! W dobrej monecie.

– Zgoda.

– Płaćcie zaraz! Tutaj! Natychmiast.

Nieznajomy z uśmiechem sięgnął po wypchany trzos, rozsupłał go i wyliczył prosto w dygoczące dłonie Waarłama dwadzieścia ciężkich krążków, nieco chropawych od wybitego na nich dostojnego portretu króla Zygmunta Wazy.

Mnich nie dał się zrobić na plebejską przewalkę. Zażądał światła, po czym długo i wnikliwie badał każdego dukata. Spróbował nawet na ząb, czy złoto. Zadowolony sapnął z utrudzenia.

– Jak się nazywacie, panie?

– Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki.

– Dydyński? – Waarłam zeszywniał. – To nazwisko akurat warte jest o pięć... siedem dukatów więcej.

Jacek drgnął. A więc jednak Dymitr nie zapomniał o zniewadze.

– Masz, ile chcesz – wyliczył kolejne siedem dukatów.

– Świetnie. Jutro rano, panie, poszukam cię w obozowisku. Bądź pewien carskiej łaski. Powiedział Izaak Syryjczyk: *Jezus będzie nas sądził wedle miłości bliźniego*. Nie sądz zatem, że Dymitr postąpi inaczej.

– Piękne dzięki. Bywajcie, ojczce.

Zakonnik odsunął go dygoczącą ręką, przeżegnał się po prawosławnemu, a potem wpadł do wnętrza namiotu jak ogier, który zwietrzył klacz.

– I nie rozerwijcie tej dzierlatki – mruknął Dydyński.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki